

Tak kocham z wiatrem chodzić za rękę



Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz

Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz (*Wielka Brytania*) – polonistka, redaktor tekstów, pedagog specjalny, kulturoznawca. Absolwentka studiów magisterskich Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN oraz studiów podyplomowych m. in. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przez lata, jako wykładowca i instruktor, związana była (obok szkół) z wieloma placówkami edukacyjnymi i ośrodkami kultury w Krakowie. Autorka książek: *Jestem pod jego skrzydłami*, *AGATa. Sekrety Pierwszej Damy*, *Beata Szydło – zerwana umowa?*, *Nasze prywatne bohaterki – jesteś jedną*

z nich, a także redaktor pozycji: *(Nie)wyśpiewane piosenki*. Stworzyła też cykl wywiadów dotyczących działalności artystycznej w Sieci podczas pandemii Covid-19, które są publikowane na portalach internetowych w Polsce i za granicą. Redaktor portalu *Kultura na co dzień* oraz półrocznika *Poeticus*. Inicjatorka wydarzeń polonijnych w Wielkiej Brytanii. Jakiś czas temu rozpoczęła przygodę z poezją. Jej utwory ukazały się w antologiach zbiorowych kilku wydawnictw. Jest laureatką Częstochowskiego Przeglądu Poetyckiego „Zapałki 2021” oraz kilku internetowych konkursów poetyckich.

Gdzieś nad Tamizy nurtem

*

A... niebo nad Londynem

i dachem Parlamentu

w turkusie lazurowym

dodaje ornamentu.

*

To miasto, co przeraża

(zachwyca jednocześnie),

tradycji jest kolebką

- wszystkiego „przed” i „wcześniej”.

*

Choć Pałac Kryształowy

nie głosi już historii

*niezmiennie jest symbolem
modernistycznej glorii.*

*

*Słońce złapane w szkiełko,
odbicie dwupłatowca
gdzieś nad Tamizy nurtem
- z mostu spogląda owca*.*

(*Obowiązujące w Londynie po dziś dzień prawo mówiące, że każdy obywatel może przeprowadzić stado owiec przez most London Bridge bez płacenia myta; tradycja jest kultywowana.)

*

Kraków zakochanych

*

*Zaczarowanego miasta idę ulicami,
Mijam kałuże, stukam obcasami.
Ktoś na mnie czeka na Rynku płycie,
Trzepoce serce, płynę w zachwycie.
Tam... pod skarbonką miłości czary
I do szaleństwa zakochane pary.
Patrzę sobie w oczy, chwytają za ręce...
Jak w piosence, jak w piosence!*

Teraz tańczą walca na ulic parkiecie.

Co o nich wiecie, co o nich wiecie?

Jeśli ktoś z Was zakochał się w Krakowie,

To powie, to powie, to powie...

Że choć „nienajlepsze tu powietrze”

Uczucia tańczą, wirują na wietrze...

*

Kradzione kasztany

*

Gdy rzęsy nocy zakryją... dnia powieki

i niebo gwieździste ubierze firany,

Morfeusz bez pokrycia wystawi czeki

na sen, co w teatrze życia niezagrany...

*

Pod poduszką chowamy marzenia skryte

(i czasem też z parku kradzione kasztany),

a wszystkie z nich na miarę wiary uszyte...

A każde z nich ma Twoje imię, kochany!

*

*W pajęczej sieci ze słów utkanej
albo gotyckim świata sklepieniu,
w tej myśli ciemnej, myśli tak strasznej
- co jeszcze jest, a co już w zapomnieniu...*

*

*Skrzydlaty demon, bożek miłości
żąda ofiary, ołtarz szykuje...*

*Czy jeszcze można uciec od tego,
odrzuć słodycz, którą się truję?!*

*

Urwisty klif... tak blisko nieba...

*

*Tak kocham z wiatrem chodzić za rękę,
tak kocham z wiatrem nucić piosenkę,
tak kocham czytać słowo po słowie
i czasem czekać, co mi odpowie,
kiedy zapytam o inspirację,
kiedy zapytam, czy miewam rację,
że gdzieś między wersów linijkami*

jest i o tym, żeśmy kochankami
- takimi trochę jak u Leśmiana,
którym ta miłość, życia odmiana,
bywa nieszczęściem i szczęściem właśnie!!!
Niechaj trwa zatem, póki nie zgaśnie...

Wiersze w antologiach zbiorowych



Spieszmy się kochać bliskich. Antologia poetów współczesnych
Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz



Czarodzieje pióra. Antologia poetycka
Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz



Wiersze sercem pisane
Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz



Kawiarenka Poetycka 5
Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz

Zobacz też:

Marian Lichtman - wieczny "Trubadur"

Piotr Cajdler - muzyk z Luton w Wielkiej Brytanii. Polscy artyści podczas pandemii.

„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Spotkania z poezją – projekt literacki Doroty Górczyńskiej-Bacik z Dunstable, UK

Mieliśmy razem napisać powieść



Marek Hłasko i Krzysztof Komeda, lata 60., fpt. Marek Nizich-Niziński, wikimedia commons

Z Leszkiem Szymańskim, legendarnym założycielem ruchu literackiego „Współczesność”, o pobycie w Los Angeles w 1966 r. i Marku Hłasce rozmawia Danuta Błaszak (*Floryda*).

Czy możesz opowiedzieć o tym, jak spotkałeś Marka Hłaskę w Los Angeles? Wiem, że pracowaliście razem nad powieścią. Ten okres to nadal jakaś luka w powszechnie znanych życiorysach Marka. W internecie znalazłam informacje o zdemolowanych barach.

O zdemolowanych barach w Los Angeles nigdy nie słyszałem.

Marka znałem z „Po prostu” i wyczekiwań u Wilhelma Macha - naczelnego Kultury. Przyjaźnił się z Romanem Śliwonikiem. Nie był założycielem „Współczesności”. Wtedy w roku 1956 dystansował się od nas, chociaż podpisywał petycje.

W latach 1958 - 1966 nie mieliśmy kontaktu na emigracji. Marek był protegowanym Giedroycia, a ja nie. Prócz tego, a to chyba najważniejsze, ja byłem w Australii, a on w Paryżu i Izraelu. Spotkaliśmy się ponownie w Los Angeles w ostatnim roku jego życia. Nie wiedziałem wcześniej o planach Romana Polańskiego ściągnięcia Marka Hłaski do Los Angeles w roku 1966. To była dla mnie niespodzianka.

Spotkanie i wspólny pobyt w Los Angeles Ciebie, legendarnego założyciela „Współczesności”, z Markiem Hłaską... to brzmi niemal niewiarygodnie. Pisanie wspólnej powieści - to działa na wyobraźnię. Plany zostały przerwane przez śmierć Marka. Jak się spotkaliście?

O tym, że Romek Polański ściągnął Marka do Los Angeles dowiedziałem się właśnie od Marka. Dokładnie nie pamiętam kiedy i jak, ale Marek pokłócił się z Romkiem, któremu miał pisać scenariusz. Zaraz po moim przyjeździe do Los Angeles, Danusia Zawadzka poinformowała mnie, że Marek tam mieszka i dała jego adres na Wilshire.

Wilshire zaczyna się w samym sercu miasta i idzie w prostej linii, przez Santa Monica, do Pacyfiku. Jest to główna arteria Los Angeles długa na kilkanaście mil. Wzdłuż niej, wtedy były głównie banki, hotele, rozmaite oficjalne budynki i luksusowe kondominia. Adres na tak ważnej i drogiej ulicy zadziwił mnie, ale wiedząc, że Marek jest pisarzem o międzynarodowej sławie myślałem, że odpowiada to jego kieszeni. Jak się później okazało, jego kieszeń była jeszcze bardziej dziurawa

niż moja.

Po przeszło godzinnej jeździe autobusem dotarłem wreszcie w pobliże jego numeru i okazało się, że to był jeden z bardzo już nielicznych starych budynków, prawie rudera. Marka już tam nie było. Nowi i gościnni lokatorzy, jacyś studenci – hipisi z UCLA, Westwood, znali Marka, ale nie jego adres, obecnie gdzieś w Hollywood.

I jak go znalazles?

Wcale nie w Hollywood. Mieszkałem w starym czynszowym domu w pobliżu śródmieścia i centralnej miejskiej biblioteki i Domu Polskiego założonego gdzieś na początku dwudziestego stulecia przez polskich socjalistów. Pozostały po nich stempelki na książkach bibliotecznych. Dziś funkcje tego domu sprawuje polski Kościół na Adams, do którego powstania przyczyniła się hojność pani Apolonii Chałupiec, znanej jako Pola Negri.

Właścicielem „mojego” domu był niejaki pan Świątek, milioner, ale skąpiec który gnieździł się w jednym pokoiku wraz siostrą, jak mnie zapewniał nieoceniony gawędziarz (i plotkarz) Bohdan Brym. Budynek był bez windy i gdy wreszcie wspiałem się na ostatnie piętro, któż siedział na schodach pod drzwiami mojego apartamentu? – Marek Hłasko! Marek nie zmienił się, raczej odmłodził i wyglądał wręcz chłopięco, zwłaszcza z krótko ostrzyżonymi włosami. Ubrany po sportowemu. Padliśmy sobie w objęcia i zaczęliśmy się sobie spowiadać, z tego co się z nami działo w ciągu ostatnich lat. Ale zaczęliśmy opowieści od ówczesnego ranka. Od tego spotkania zaczęła się nasza przyjaźń i współpraca literacka.

Marek opowiadał, że wtedy obudził go tubalny głos Leonidasa Ossetyńskiego, który stał pod oknem jego mieszkania na Pointsettia i wykrzykiwał na całe Los Angeles, że Szymański przyjechał do tego słynnego miasta Aniołów. Marek wsiadł w swój samochód i wkrótce już całował klamkę drzwi mego apartamentu. Postanowił poczekać, no i doczekał się.

Marek był bez pracy i pieniędzy. Zaprosił go do Los Angeles Roman Polański. Chciał od Marka scenariusz. Chyba zapłacił za przyjazd i pokrył koszt utrzymania przez pierwsze dni. Ale rychło się poróżnili i ze współpracy nic nie wyszło. Odniosłem wrażenie, że Marek jest poróżniony z wieloma osobami. Miał też jakieś zatargi z

Sakowskim z Londynu. Wyglądało na to, że miał rozmaite pretensje do Romana, ale nie wypytywałem się o szczegóły. W konkluzji Marek stwierdził, że gdyby nie te ich nieporozumienia, to pewnie byłby zamordowany wraz z żoną Polańskiego i Wojtkiem Frykowskim. Pamiętam, że określił Sharon Tate jako wysoką „gidyję”.

Marek nic nie mówił dlaczego Roman Polański wycofał się ze swojego zamierzenia nakręcenia filmu według jego scenariusza. Nie wiem czy ten scenariusz został napisany.

W owym okresie od „oficjalnej” Polonii Marek trzymał się raczej na uboczu. Zasadniczo „opiekował” się nim Leonidas Dudincew Ossetyński, aktor i poeta, dyrektor szkoły aktorskiej, gdzie uczył pupilków metodą Stanisławskiego i Grotowskiego. Miewał jakieś podrzędne role w rozmaitych filmach. Finansowo dawał sobie radę jako tako. To Leonidas wystarał się Markowi o mieszkanie na Pointsettia. Bardzo obszerne, staromodne i na spokojnej ulicy w pobliżu Hollywood. Fizyczne zdrowie Marka było pod dozorem doktora Otto Lauterbacha, przyjaciela pisarzy, człowieka typu Mieczysława Grydzewskiego. Przez pewien okres Marek kolegował się z Henrykiem Grynbergiem.

Mój przyjazd trochę pomógł Markowi bo, ja dzięki doktorowi Michałowi Zawadzkiemu i jego żonie Danusi, miałem poprawne stosunki z „oficjalną” Polonią, zasadniczo tą wojenną. Leonidas, ekscentryk i aktor to była „bohema”! Ja - ni pies ni wydra, podobnie jak w Polsce, nigdzie nie pasowałem. Dla „bohemy” byłem zbyt burżujski, dla burżujów zbyt cygański! W Polsce dla partyjniaków zbyt buntowniczy i niezależny, dla innych zbyt oportunistyczny i ugodowy.

Ale wracając do rzeczy. Markowi zaczął pomagać Szczepan Zimmer, autor książki z „Chałupy na Parnas” o Kasprowiczu. Zimmer był dyrektorem biblioteki szpitalnej, gdzie też wystarał się o pracę dla mnie. Pamiętam jak kiedyś u mnie siedzieli, na parapecie okna z Markiem, oświetleni promieniami zachodzącego słońca, tak jakby pozowali dla potomności.

Samopomoc oferowała Markowi pożyczkę. Danusia Zawadzka wystarała się mu o pracę u Wnurowskiego, nie pomnę imienia. Weterana i właściciela fabryczki w sienkiewiczowskim Anaheim. Marek zaczął się interesować Różą Piłsudską.

Jakie zajęcie znalazł sobie Marek Hłasko w Los Angeles?

Dziwiłem się, że Marek nie próbuje jakiejś pracy biurowej i ubiega się o pracę „helpera”, tj. niewykwalifikowanego robotnika. Na co on odpowiadał, że do pracy biurowej się nie nadaje.

W końcu Wnurowski, w Anaheim dał mu pracę w swej fabryce. Pamiętam, że chciał wziąć Marka do „offisu”, ale Marek odmówił. Więc przenosił blachy z jednego miejsca w drugie. Ciął sobie dłonie i dezynfekował czerwonym środkiem odkażającym, Te prawie ukrzyżowane ręce pisarza robiły straszliwe wrażenie. Symbol pisarstwa emigracyjnego. Na proste pytanie, dlaczego nie używa rękawic odpowiedział, że blacha się wyslizguje.

Jak spędzaliście czas?

Często wtedy jeździliśmy na plażę (Marek jak się wyrażał był „wodniakiem”) wraz z moją pierwszą małżonką Jadwigą (Marek twierdził, że jest to jedna z nielicznych osób, które nic złego o innych nie mówią. Uczył ją też jazdy samochodem) i Leonidasem, wtedy jeszcze nieżonatym. W związku z tym pamiętam, że któregoś upalnego dnia wyraziłem zdziwienie, że tylu mieszkańców naszej ulicy spędza czas piekąc się na chodnikach, zamiast pojechać nad ocean. Na co Marek odpowiedział, że większość z nich nie ma samochodów. Dojazd autobusem ze śródmieścia jest kosztowny i długi. Prócz tego może się lepiej czują w mieście, niż na łonie natury. Prawdy oczywiste, ale jakoś nie przysły mi do głowy.



Leszek Szymański

Leszek Szymański – pisarz, dziennikarz, historyk, podróżnik, politolog, filozof, ważna postać wśród polskich pisarzy emigracyjnych. Jest autorem wielu dzieł beletrystycznych i *non-fiction*, głównie w języku angielskim, ma swoje miejsce w literaturach Polski, Australii i USA. Jest laureatem Nagrody im. Josepha Conrada przyznanej przez Miasto Literatów z Florydy. W Polsce znany jest w kręgach literackich jako legendarny założyciel „Współczesności”, pisma, które w 1956 r. było jedyną niezależną publikacją za żelazną kurtyną.

Zobacz też:

Z opowieści legendarnego założyciela ruchu literackiego „Współczesność” – Leszka Szymańskiego. Wspomnienie o Marku Hłasce.

Zakamarki pamięci – wspomnienie o Marku Hłasce

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .

Z opowieści legendarnego założyciela ruchu literackiego „Współczesność” - Leszka Szymańskiego. Wspomnienie o Marku Hłasce.

Danuta Błaszak (*Floryda*)

Przygotowuję drugie wydanie książki „Wywiady - spotkać „Współczesność”, uzupełnione i rozszerzone. Rozmawiam z Leszkiem Szymańskim, legendarnym założycielem „Współczesności”. Kilkakrotnie wracamy do Marka Hłaski, którego Leszek znał. Znali się jeszcze z Polski w latach pięćdziesiątych, a w roku 1966 spotkali się w Los Angeles, na krótko przed śmiercią Marka. Spędzali razem dużo czasu, miała powstać wspólna powieść... W tej, jednej z kilku, krótkich rozmów z Leszkiem, zapytałam o legendy dotyczące Marka. Jedną z legend zatytułował „gwizd lokomotywy”. Alkohol modny był w tych czasach chyba znacznie bardziej niż teraz, tutaj na pewno był czynnikiem inicjującym zabawne historyjki, dodającym śmiałości. Z dużą ciekawością słuchałam tych barwnych opowieści dotyczących dwóch sławnych, legendarnych pisarzy.



Słynna Venice Beach w Santa Monica, lata 20. XX w., fot. wikimedia commons

Leszek Szymański (Warszawa)

Gwizd lokomotywy

Gwizd, o którym wiem w Los Angeles był potrójny. Raz Marek zagwizdał na bardzo dostojnym przyjęciu polonijnym, bo wszyscy, byli tak dystyngowani i wyfraczeni, że go szlag trafił i chciał zaszokować naszych nadętych dostojników. Nota, bene Marek zasadniczo był nieśmiały. Unikał zebrań i spotkań autorskich, które mu proponowano. Choćby dobrze płatnych.

Ze mną kiedyś się założył, że wypije szklanekę spirytusu i gwizdnie głośniejsze niż ja, po takim samym wyczynie. Działo się to w moim mieszkaniu w Downtown, Los Angeles., na Union Drive. Wtedy w śródmieściu, jeszcze nie wypiętrzonym i szklannym, gdzie normalni ludzie mogli znaleźć tanie mieszkania, spirytusu nie mogliśmy kupić, bo

jest nielegalny w Kalifornii. Dostaliśmy jednak rum, chyba 90%. Marek wypił szklanekę i gwizdnął niczym lokomotywa. Jak przyszła na mnie kolej szklanice wychyliłem, świsnąłem cichutko i spadłem pod stół. Nie pamiętam co się dalej działo.

O Marku Hłasce i pałacu Gubernatora w Santa Monica.

Historyjkę tę pamiętam przez mgłę kilku już dziesiątków ubiegłych lat, no i oparów alkoholu. Więc nie ręcę za naukową ścisłość faktów. Po tym „caveat” przystępuję do opowieści.

A zaczęło się to u Marka Nizińskiego od celebracji z okazji objęcia przez niego zaszczytnej funkcji „menadżera”, luksusowego domu apartamentowego prawie, że na „Miracle Mile” (Cudownej Mili) w pobliżu, słynnego muzeum w La Brea, gdzie utopiły się, ale jednocześnie zakonserwowały w smole (dziegciu) niezliczone przedpotopowe zwierzęta, z których potężne mamuty można obserwować jadąc słynnym bularem Wilshire.

Niziński wysoki i chudawy blondyn, poeta pisarz, „menadżerował” przed tym jakąś historyczną rudere w centrum Hollywood, gdzie kiedyś podobno mieszkała Black Dalila, Charles Chaplin, a nawet nasza rodaczka słynna Pola Negri z domu Apolonia Chałupiec Nastrój był beztroski. Trunki lały się płynnie, panował zwykły gwar. Gospodarz zaprosił naszą całą „ferajnę” to jest dość szczupłą polską cyganerię z Los Angeles.

Były zwykle kłótnie na tematy polityczne i literackie. Jak powiadał Roman Śliwonik o czasach „Współczesności”, kłóciliśmy się o wszystko tylko nie o pieniądze! Patriotyczne mazurki i oberki, a w pewnym momencie Marek Hłasko poszedł solo w kozackie „prysiudy”. Od czasu do czasu wydawał przeraźliwy gwizd, warszawskiego żulika z Powiśla. Nie pamiętam ani imion, ani nazwisk wszystkich uczestników, ani ich żon i nie żon. Nie gwarantuję też, że nie pokręciłem nazwisk osób, które pamiętam. Tak na przykład majaczy mi się, że był z nami Jack Nicholson, pozostałość po czasach przyjaźni Marka z Romkiem Polańskim. Był także amerykański poeta Charles Bukowski zwany pospolicie „BarFly”. Ale wszystko było bardzo przyzwoicie i względnie cicho, nie licząc tych paru gwizdów lokomotywy, nawet nie o spóźnionej porze. Jednak odgłosy biesiady nie spodobały się któremuś z dostojnych lokatorów. No i podobno komuś zdarzył się wytrysk żołądkowy zwany

pawiem w wypełnionej windzie.

W pewnej chwili, gdy obudziłem się z chwilowej drzemki zobaczyłem kilku policjantów. Wyglądali groźnie z rewolwerami na pasach i pałkami w rękach. Ale byli grzeczni. Nie wiem, z jakiej racji zaczęli nas wypytywać o narodowość. Choć nie wygladalismy na „undocumented immigrants”, a o terrorystach jeszcze się nie słyszało.

Marek Hłasko przedstawił się jako Izraelita, Niziński bodaj jako Szwed, Andrzej Krakowski jako „Native American”, Henryk Grynberg był mieszkańcem Kaukazu, a ja oczywiście Australian Aborigine. Jedynie Czesław Banasiewicz, znany grafik i prawie trzeźwy, przedstawił się z wrodzoną godnością jako Polak. Nicholson i Bukowski zniknęli, a może wtedy nie byli z nami. Policjanci kiwali głowami i pałkami, ale niegroźnie i poprosili o paszporty... bardzo uprzejmie. Widać ta zawodowa grzeczność zwiadła Marka Hłaskę, gdyż w pewnej chwili sięgnął do kabury jednego z przedstawicieli prawa. Nim się spostrzeżliśmy, mieliśmy kajdanki na rękach i znaleźliśmy się w karetce policyjnej, czyli w tak zwanej w Polsce „Czanej Marii”.

Zawieziono nas na komisariat w Santa Monica, który się mieścił w pięknym pałacyku, który wyglądał jak zrobiony z barwnych kafli i mieścił się w cudnym ogrodzie z fontanną, jakiegoś dostojnika z czasów hiszpańskich, czyli popularnie mówiąc w Pałacu Gubernatora. Z jakiej racji nas tam zawieziono, nie wiem. Bliżej było do Hollywood, względnie do Rampart Division. A może miało to coś wspólnego z wpływami i znajomościami Jacka Nicholsona?

Marek zapadł w jakiś trans bo nie podnosił powiek, nawet gdy nas wyładowano z wozu. Tym razem mniej uprzejmie. W pewnej chwili otworzył oczy i krzyknął ze zdumieniem - *Wreszcie mamy uznanie! Do pałacu nas zawieziono!*

Wszystko skończyło się dobrze. Wkrótce nas zwolniono. Chyba w wyniku interwencji Stefana Pasternackiego, czy też doktora Otto Lauterbacha. Nie, Leonidasa Ossetyńskiego, bo ten był z nami. Pamiętam, że przedstawiał się policji jako rabin, gdyż grał taką rolę w jakimś filmie.

A najważniejsze, że Marek Niziński nie stracił posady. W domu mieszkało wielu, jako tako, znanych aktorów, artystów i tym podobnej eks-bohemy, obecnie dobrze

zarabiającej, więc właściciel zawyrokował, że Nizinski i jego kompania pasuje do budynku, ale niech się taka heca nie powtórzy, bo „menadżer” ma być tym właśnie, który daje przykład dobrego zachowania.

*

Zobacz też:

Mieliśmy razem napisać powieść

Zakamarki pamięci - wspomnienie o Marku Hłasce

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .

Powrót Stefana Kątskiego
do Sanoka



Szczęśliwy moment otwarcia wystawy Stefana Kątskiego w Sanoku

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Od wielu lat zbieram materiały związane z tematyką dotyczącą polskich artystów plastyków w Kanadzie. Szczególnie interesujący i intrygujący zawilnością losów jest okres 1939-1989. Ze zdobytych wiadomości układa mi się bogaty i fascynujący rozdział polskiej historii sztuki emigracyjnej. Praca moja nierzadko przypomina pracę detektywa, gdyż odnajduję zatarte ślady, tropię żyjących świadków przeszłości, zbieram strzępy wspomnień jeżdżąc do nieznanym mi miejsc związanych z artystą, o którym szukam informacji. Zapisuję te moje odkrycia budując biografie polskich plastyków, których los rzucił do Kanady i z większym lub mniejszym powodzeniem udało im się kontynuować działalność artystyczną.

Historia którą chcę opisać przypomina scenariusz filmowy. Grupa zapaleńców z Basią i Albertem Kątskimi na czele, ogarnięta pasją wydobywania z mroku przeszłości informacji o co ciekawszych członkach historycznego rodu Kątskich, postanawia dowiedzieć się czegoś więcej o nieznanym w Polsce malarzu, emigrancie wojennym, zmarłym w 1978 roku w Montrealu, a urodzonym w Sanoku, Stefanie Kątskim. Wszechwiedzący sekretarz Związku Robert Antoń odnajduje w internecie mój artykuł na temat polskich malarzy w Kanadzie, w którym wspominam Stefana Kątskiego -

malarza, konserwatora Skarbów Wawelskich, twórcę kurdybanów. Zostaje zaproszona do Sanoka na konferencję i przygotowując referat odnajduję grób malarza, zdobywam adres domu, w którym mieszkał w latach 70., robię zdjęcia jego ocalałych prac, poznaję Florę Liebich, doskonale znającą artystę i dzięki jej życzliwości i zaangażowaniu w temat zgłębiam prywatne archiwum rodziny Liebichów znajdując w nim nieznane fakty i wiadomości o życiu Stefana - wuja Flory.



Barbara Kątska i Katarzyna Szrodt podczas uroczystości przekazywania kolekcji montrealskiej Muzeum Historycznemu w Sanoku



Katarzyna Szrodt z założycielami Związku Rodu Kątskich – Barbarą i Albertem Kątskimi

W kwietniu 2017 roku wygłosiłam w Sanoku referat zatytułowany: *Montrealski portret artysty malarza Stefana Kątskiego*. W czasie mego pobytu wspomniałam o kolekcji 16 jego obrazów będących w posiadaniu Biblioteki Polskiej imienia Wandy Stachiewiczowej w Montrealu. Informacja o obrazach wzbudziła ogólne zainteresowanie i emocje. Ziarno zostało rzucone na podatny grunt. Członkowie Związku Rodu Kątskich rozpoczęli starania, by zdobyć fundusze na zakup obrazów z Montrealu. Ideą im przyświecającą było pragnienie, by malarstwo Stefana Kątskiego na stałe zagościło w zbiorach Muzeum Historycznego w Sanoku. W zdobycie środków zaangażowanych było wiele instytucji i osób z Marszałkiem Województwa Podkarpackiego i Przewodniczącym Sejmiku Województwa na czele. Blisko dwuletni

proces sfinalizował się dzięki wytrwałości i konsekwencji wszystkich włączonych w akcję i obrazy przybyły na zamek sanocki. 11 czerwca 2021 roku, na Zamku Królewskim w Sanoku, odbyła się uroczystość oficjalnego przekazania przez Związek Rodu Kątskich 16 obrazów artysty do zbiorów Muzeum Historycznego. Patronat Narodowy nad tą jakże wyjątkową uroczystością objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Pan Andrzej Duda.



Katarzyna Szrodt na tle kolekcji obrazów Stefana Kątskiego

Urodzony w 1898 roku w Sanoku malarz, po 123 latach powrócił do rodzinnych stron. Odwiedzający muzeum miłośnicy sztuk pięknych mają możliwość delektowania się bardzo ciekawą kolekcją malarstwa postimpresjonistycznego głęboko osadzonego w tradycji europejskiej. Martwe natury Kątskiego komponowane są niezwykle interesująco z odwołaniem do stylistyki Cezannowskiej w pracy nad kolorem, konturem, tłem i światłem w obrazie. Artysta cenił twórczość Józefa Pankiewicza, z którym zetknął się w Paryżu, jak również inspirowało go malarstwo Pierre Bonnarda, od którego przejął paletę brązów, ugrów, ochry i zieleni. Oprócz świetnej pracy malarskiej płótna Kątskiego tchną wyczuwalną pasją malowania, radością pracy nad kolorem, kompozycją, fakturą. Na emigracji w Montrealu, pomimo trudów samotniczego życia, artysta nie zaniechał tworzenia. Najczęściej ofiarowywał swoje

obrazy przyjaciółom pragnąc, by cieszyły oko i żyły wśród ludzi.

Rzadko dorobek artysty- emigranta spotyka tak szczęśliwy los, że wydobyty z zapomnienia objawia się nowym pokoleniom odbiorców, zaś życiu i dziełu zdawałoby się zakończonemu, dopisany zostaje nowy rozdział – tak stało się w przypadku życia i twórczości Stefana Kątskiego. *Non omnis moriar* – mądrość tej starożytnej maksymy najtrafniej puentuje historię powrotu Stefana Kątskiego do Sanoka.

*

Zobacz też:

Stefan Kątski (1898-1978). Kanadyjski portret artysty.

**Agnieszka Herman - wiersze
z tomiku „Tło”**



Agnieszka Herman, fot. arch. autorki

Agnieszka Herman (www.agnieszkaherman.pl) – poetka, autorka okładek książek. Wydała pięć tomików poetyckich *Wybuchło słońce* (WKMS, 1990), *Zapisane światłem* (Wydawnictwo Magazynu Literackiego, 1995), *Jesienią najtrudniej iść środkiem dnia* (Nowy Świat, 2015), *Punkt przecięcia* (NigitinGel, 2018) – wiersze zebrane, wydane w języku bułgarskim w tłumaczeniu Łyczezara Seliaszki i *Tłó* (Issa Books, 2019). Jej wiersze znajdują się w licznych antologiach krajowych i zagranicznych. Uczestniczka międzynarodowych festiwali poetyckich m.in. w Polsce, Bułgarii, na Ukrainie i w Turcji. Jej wiersze i haiku tłumaczone były m.in. na języki angielski, japoński, bułgarski, turecki i ukraiński. Finalistka Orfeusza – Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego 2020 za tom *Tłó*, zwyciężyła w głosowaniu internautów oraz uczestników gali przyznania nagród. O jej twórczości pisali m.in. prof. Jarosław

Ławski, Anna Janko, Krzysztof Karasek, Janusz Nowak, Zdzisław Antolski, Leszek Żuliński, a także Agnieszka Osiecka. Jest członkiem Polskiego Stowarzyszenia Haiku - Polskie Stowarzyszenie Haiku.

tłem niech będzie łóżko

z drewnianym zagłówkiem.

stara kobieta wzywa mamę.

sąsiadki siedzą wokół

i opowiadają światu o leżącej.

*

szttywnymi palcami

przekładają paciorki różańca.

*

z zawodzeń

z prostych zdań

powstaje

drabina do nieba.

*

tłem niech będą lustra

w zakładzie fryzjerskim.

kobieta

wyciąga spinki z siwego koka.

odkłada okulary.

*

włosy do pasa

genetyczny posag,

duma rodziców i ciotek.

ogon komety,

za którym hipnotycznie

sunęli mężczyźni.

*

młoda fryzjerka nie chce dotykać

martwych lat. szeptem

prosi koleżankę o zastępstwo.

*

tłem niech będzie nadmorska plaża

nie ma takich samych liści na drzewie,

traw, płatków śniegu,

różne są ziarenka piasku.

*

pod rozgwieżdżonym niebem

*przesypuję pytania
z garści do garści.*

*

***tłem niech będzie głuchy odgłos
ciała uderzającego o ziemię.***

*dąb, bohater mojego krajobrazu
ćwiartowany przed śmiercią
gałąź po gałęzi.*

*

*ja sierota, ptaki sieroty,
i żółty, co wisiał nad dębem.*

*

tłem niech będzie spokój
*dwudziestoletnia Józefa wraca do Polski
po wojnie razem z wojskiem i ruskimi.
nigdy jednak nie mówi inaczej niż sojusznicy.
nigdy źle. i tak by nikt nie uwierzył.*

*mieszkanie na Mokotowie wypełnia kwiatami
i modlitwami do boga pokoju.*

*

*dzieciom nadaje imiona na jego cześć
Miro-sława i Sławo-mir.*

*

tłem niech będzie dym z papierosa.

nierówna wstążka unosząca się w górę.

kiedy związki powstają w niebie

cały świat słyszy bicie ich serc.

w jego rytm układają się krajobrazy.

wieją wiatry, rodzą się pieśni.

*

samotni oddychają

tym samym powietrzem.

*

zarazić się miłością jak ospą.

*

tłem niech będzie sen

mam czapkę z tysiąca motyli.

roją się nad głową.

trzepią aksamitnymi skrzydłami.

uśmiecham się do odbicia

w wystawowych szybach.

*

ludzie przechodzą
na drugą stronę
bo motyle czarne
jak śmierć.

ciem nitek będą lustra
w zakładce fryzjerskim,
kobieta wykiada spina
z swiego koka,
odkłada okulary.

włosy do pasa
genetyczny posąg,
duma rodziców i ciotek,
ogon komefy,
za którym hipnotycznie
sunęli mężczyźni.

młoda fryzjerka nie chce dotykać
martwych lat, szeptem
prosi koleżankę o zastępstwo.

Jak ona to robi? Najprościej, z tą bierze
detal i go powiększa. Jednym ruchem pióra.
Akt wyboru jest zawsze aktem twórczym
– zmienia się skala, powstaje napięcie.
Nieraz do bólu. Jak w haiku, minimum słów
daje pełny wgląd w istotę rzeczy. Aż trudno
uwierzyć, że dramat życia, dramat śmierci
mieszczą się całe w tych niezwykle delikat-
nych i oszczędnych utworach.
Jednak ona to potrafi – Agnieszka Herman
napisała cykl minimalistycznych wierszy,
które rozrastają się w każdej kolejnej lek-
turze. Czy nie o to właśnie chodzi w praw-
dziwej poezji?

Anna Janko

agnieszka herman tfo

097. BIRNIAK PIZARZE

155 d BOOKS

9 789395 524608

155 d BOOKS

Agnieszka Herman – poetka, dziennikarka, graficzka.

Opublikowała trzy tomiki wierszy: *Wybawcie słonice* (WKMS, 1990), *Zapiskane światłem* (Wydawnictwo Magazynu Literackiego, 1995), *Jesienną najtrudniej iść środkiem dnia* (Nowy Świat, 2015), *Punkt przecięcia* – wiersze zebrane przełożone na język bułgarski przez Tycieczara Seliarską (NightGiel, 2018).

Jej wiersze znalazły się również w licznych antologiach polskich i zagranicznych: (bułgarskich, amerykańskich, indyjskich – talugu, angielskiej, tureckiej), m.in.: *Łowka rezerwowych* (WKMS, 1999), *Śnić miłość Polska poezja miłosna XIXXX w* (antologia pod redakcją Włodzimierza Boleckiego, Wydawnictwo Bertelsmann, 2000), *A jeśli miłość – co to jest takiego* (antologia poezji miłosnej, Książnica, 1999), *Contemporary Writers of Poland 2000–2014* (Dreamtime Little City, 2014), *Pomiędzy* (Minitura, 2017), *Antologia Pisarzy Polskich* (Wydawnictwo Piszarze.pl, 2017).

Od 2016 r. bierze udział w zajęciach Szkoły Klasycznego Haiku. Swoje haiku drukowała m.in. w „Przekroju” i japońskim „Kuzu”. Należy do Polskiego Stowarzyszenia Haiku.

Lipcowe rocznice



Jan Matejko, Bitwa pod Grunwaldem, Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. domena publiczna

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Nazwa jest dość jasna. Pochodzi od kwitnięcia drzewa lipowego. Dawniej był to lipień – od podbierania barci pszczelich. Ten miesiąc, który otwiera drugie półrocze jest dosłownie przeładowany zdarzeniami historycznymi i tym wszystkim, co dzieje się w świecie przyrody. W lipiec 2006 roku wpisana jest przede wszystkim dwieście siedemnaście rocznica zburzenia paryskiej Bastylji, symbolu starego porządku, którego stany – dotychczas upośledzone – miały po prostu dość. To właśnie z tamtego obszaru historii pochodzą szczytne, prawdziwie ludzkie hasła: Wolność, Równość, Braterstwo – nigdy i nigdzie niezapomniane. Dziś, jak i dawniej pociągające, aktualne, niezbędne do życia w ładzie społecznym, niczym czysta woda i przejrzyste powietrze. Dla nas, Polaków powodem do dumy jest – niejako spokrewniony ideowo z tamtym „lipcem francuskim” – Sejm Czteroletni, promujący nad Wisłą idee wolnościowe; sejm, który wydał szlachetny, najszlachetniejszy owoc w postaci Konstytucji Trzeciego Maja. Jest co wspominać i jest co – dziś i jutro –

naśladować...

To był wiek osiemnasty. Przecież jednak i kilka stuleci wcześniej zrodziły się idee równie budujące. 1 lipca 1569 roku - podpisany został doniosły akt Unii Lubelskiej, który łądził stosunki pomiędzy Koroną i Litwą, umacniając wewnątrz i zewnątrz kształt Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Pamiętam lata sześćdziesiąte, gdy jako pracownik nauki Uniwersytetu Jagiellońskiego oprowadzałem gości z Wilna po wzgórzu wawelskim. Litewscy uczeni byli wyraźnie zaskoczeni i prawdziwie wzruszeni, kiedy stwierdzili, że na portalach, na licznych płaskorzeźbach herby Korony i Litwy, Orzeł Biały i Pogoń - są tej samej wielkości. Cóż mogłem wówczas powiedzieć? Jedynie prawdę. To właśnie, że owe znaki i dawne symbole wyrażały samą istotę współżycia narodów połączonych unią braterstwa, unią opartą na gruncie zachowania podmiotowości każdej ze stron... Jeśli się cofnie pamięcią do roku 1410, to stanie przed naszymi oczyma słynna (15 lipca) bitwa pod Grunwaldem przypominana wielokroć przez malarzy, pisarzy, filmowców...

Inne lipcowe rocznice. Jest ich - jak wiadomo - wiele. Jaśniej blaskiem - jak wspomniano - rocznica zwycięskiego Jagiełłowego Grunwaldu. Warto też wymienić jeszcze dwie; z innej niejako dziedziny. Czwartego lipca (1934 r.) zmarła Maria Skłodowska-Curie, a dziewiątego tegoż miesiąca (1929 r.) Julian Fałat. I ona i on odeszli, a żyją i świecą, niczym żywe pochodnie pośród szarzyzny naszej codzienności i udręki, zaświadczać na każdym kroku, że uczoney i artysta - mocując się z trudnym tworzywem - ciężary i ryzyko biorą na siebie, a otoczeniu i światu dają szczerze same WARTOŚCI. Warto o tym pamiętać dzisiaj, kiedy profesor uniwersytetu może za swoje miesięczne pobory kupić sobie na targu 2500 pęczków koperku... Można to zresztą przeliczyć na buraczki, na marchew. Jak kto woli. To mało ważne. Ważne jest to - i zarazem smutno - że to zaledwie tyle.

Ala przecież lipiec, miesiąc miódny, miesiąc wakacyjny niesie nam bardziej radosne tony. W dziewiętnastym wieku poetka, dziś niesłusznie uważana za nieco staromodną, Maria Konopnicka bujny rozrost przyrody wiązała z nadziejami na odzyskanie przez nasz kraj Niepodległości. W wierszu *Lipy kwitną...* pomieszczonym w zbiorze *Linie i Dźwięki* (1897) pisała wyrażając przeświadczenie, że lipcowe słońce rozgrzeje patriotyczne uczucia narodu i umocni jego wolnościowe aspiracje:

*Lipy kwitną... Wieją wonie miodu,
Prastarego wieją wonie cudu...
W słońce spojrzął ślepy syn narodu,
W słońce spojrzął duch mojego ludu!*

Jarosław Iwaszkiewicz natomiast tak wyrażał nastrój własnej duszy w liryku *Lipiec* z międzywojennego tomu *Księga dnia i księga nocy* (1929):

*W niebieskim ogrodzie
Wonno i przyjemnie
Obłoki jak łodzie
Przepływają we mnie...
I wszystko się zlewa
W łagodną pogodę.
Lipiec miodem śpiewa
Złoci żyto młode.*

Innym sposobem, w innej poetyce i stylistyce, rzecz ujmował przedstawiciel Krakowskiej Awangardy, Julian Przyboś. Nie mogą nas wcale zaskakiwać u niego, nauczyciela języka polskiego w szkołach cieszyńskich w międzywojniu, takie oto radosne metafory, które zastosował w wierszu *Lipiec* (tom *Równanie serca* - 1938):

*Na świadectwach, wzbici w radość, odlecieli uczniowie,
drży powietrze po ich śmigłym zniku.
Wakacje, panie profesorze! Pora
trzepać wesoło słowa jak futra na wiosnę*

oraz

czasowniki przez dni lata odmieniać!

To prawda. W lipcowe dni, zaprawione wonią kwiatu tak bardzo dobrego „na kaszel”, nie zawadzi refleksja o naszej historii, nie zawadzi też odrobina euforycznej radości, jaką niesie przyroda i poezja. Ale ta refleksja powinna zapewne walnie uwzględniać

wielowiekowe doświadczenia Polaków zawarte w przysłowiaach, których – w odniesieniu do lipca – jest wyjątkowo dużo. Jedne mówią o zbliżających się pożytkach: „Kiedy lipiec daje deszcze, długie lato będzie jeszcze”; „Lipcowe upały, wrzesień doskonały”; „Lipiec upały, wrzesień doskonały”; „W lipcowej porze łowią raki i piskorze”; „W lipcu słońce znów doskwiera, miód na lipach pszczółka zbiera”.

W niektórych zawarte są nauki i porady, niekiedy ostrzeżenia: „Gdy po gorącym lipcu sierpień chłodzi, twarda zima i duży śnieg zaszkodzi”; „Lipcowe deszcze, dla chłopca kleszcze, a jak pogoda, większa swoboda”; „Lipiec, ostatek chleba wypiecz”; „Od lip ciągnie wonny lipiec, nie daj słońku kłosa przypiec”; Upały lipcowe wróżą mrozy styczniowe”; „W lipcu trza gotować, co na jesień obiadować”. Tyle tych mądrości, przezorności. To dobrze... A nam co pozostaje na wakacje? Chyba jeszcze raz posłuchać słynnego „Iwaczy” ze Stawiska. Tym razem mamy wybrane strofy wiersza *Lipiec* (z tomu *Krągły rok*):

*Pachną lipce – Reymontowskie
i zwyczajne
pełne rowy kwietnej piany
miododajnej*

*kopic żyta złote róże
ściąga sinych wstążek krata
rzeki małe rzeki duże
Bzura Mrowa i Pilica
i Utrata
[...]*

*asfalt się roztapia w niebie
pełen olśnień
i cholerne ciągnie ciebie
w Polskę w Polskę*

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Zobacz też:

Upojny klimat czerwca

Rozkwit poezji w maju

„Memory Is Not the Truth”



Interview with Bogdan Frymorgen, a Polish-British journalist and photographer, whose literary debut *Okruchy większej całości* (“Crumbs of a Bigger Picture”) deals with the memories of his childhood marked with the family struggles with father’s bipolar disease.

By Bożena U. Zaremba

A literary debut at the age of 58 is quite unusual. However, writing has been part of your professional life for many years.

When someone called my book a debut, I was shocked. This manuscript came to life in a very natural way, without any plans for publication. It has also been called a biography, but I am not describing my life here, rather some snips of my memory,

which I decided to evoke when the pandemic shut us all at our homes. In the evenings, when my family went to bed, my dog Siena made herself comfortable at my side; I opened my computer and typed my thoughts. But it is true, I have indeed been dealing with the word for quite some time - as a correspondent for the Polish Radio RMF FM, and before, when I worked for BBC. Let me stress - I work with the *Polish language*. This is important to remember because, after having lived in Great Britain for 35 years, working among and socializing with the English, if I were to speak in public or write, I would choose the English language. However, this book had to be written in Polish because this is the language of my memory, my childhood, the language I grew up with. I have always made every effort to cultivate my Polish - first of all, because this is the source of my income as a journalist, and secondly because I wanted my kids to be proficient. We have always spoken Polish at our home, and my grown-up sons - one is 30, the other is 27 - are bilingual and bicultural. I suspect you would never realize they were born, raised, and educated here. So, to sum up, this is a strange debut. Before this book, I had published photo albums with some text, but there, the writing is minimalistic, simple, yet precise.

You once said this book resulted from a need to untie some knots—to organize and simplify certain events from your life.

That is what I do in my photography, which has cunningly sneaked into this book. You could say that this book is a collection of photo frames from the past, which I recollect with great photographic precision and make them live, either through motion, sound, smell, emotions, or words. Still, even though all events are organized more or less in chronological order, my writing was not linear. Each chapter was born out of a spur-of-a-moment, out of some emotional craving. The chronology of my memory was the key.

You claim Carl Gustav Jung - creator of analytical psychology and psychotherapy - as one of your inspirations. Was writing a form of katharsis?

My writing was a natural continuation of the psychotherapy which I had undergone a few years ago. I have always been interested in Jung's philosophy and in him as a person. When I turned 50 - and let's face it, this is a pivotal moment in one's life - I decided to give myself a gift in the form of ten therapy sessions. Besides, I have

often heard from my wife (mainly during some spats) that my father was crazy, so I need to go to therapy [*smiles*]. I tried to resist it because I was certain that I had “processed” my father. However, we became empty-nesters, we paid off our mortgage, and, after 24 years, I retired from my work at BBS. These were quite critical turning points. During those sessions, it turned out pretty quickly that, although I had completely dealt with my father, with his mental disorder and growing up at a home that was saturated with his bipolar disease, I had not sorted out my grandmother nor my mother, and there were still some things I needed to settle with my brother. Suddenly, some of my soul’s “glands” opened, and I was able to talk about all those things comfortably. During those sessions, some truly incredible and revelatory matters revealed themselves. In such moments, you don’t believe what you are hearing is actually coming out of your mouth. This can result in the reprogramming of your consciousness and subconsciousness. I must say, this was absolutely mind-blowing. When I was giving these thoughts some literary form, I was physically shaking because, suddenly, it turned out that I was capable of liberating an event from the past that had been deeply buried in my subconsciousness. These moments are the strongest in the book, but I am not going to tell which. So, since the book is an extension of therapy, it became a therapy in itself.



Photo: Bogdan Frymorgen

Your stories are universal, and the book has been enthusiastically received. The aspect most commonly commented on is the honesty of your writing and lack of retouching. A Polish poet, Marcin Zygadło commented, “Frymorgen is a cautious photographer; he does not use filters. His lenses show the world without pretense...as if the author wanted to expose himself completely.” Was it so? Or did you keep some events secret, known only to you or perhaps your close ones?

But, of course! I wrote some chapters that could never become part of the book. I had to exercise some restraint. The most difficult chapter was about my brother. It is harshly sincere, but it was written with love. My brother senses and knows perfectly well that this is not an easy subject, but this book would not be possible without it because my brother filled a huge part of my life in the same way as my mother and father did. But I do not expose anything here. I went through a sort of transformation; in other words, I simplified some things inside of me. This is exactly what I do in my photography - I have always strived to create a clear-cut order in my

photographic frames by getting rid of unnecessary elements. I have forever been interested in showing the desolation and silence, especially when I was surrounded by noise and fuss. That was the case with the shots of my kids, which started my so-called photographic career. They show my sons as lonely, quiet, and small creatures. When my wife saw those photos for the first time at an exhibition in Krakow, she could not believe they showed our sons. She remembered those moments as the time of clamor, screaming, bickering, and fighting. In contrast, I was looking for some calm. I sneaked into that crack and snapped a shot. In my book, I became a photo frame. In other words, I took that core of my photography and simplified and cleaned my humanity. That's reflected in the language - there are no unnecessary words there; each word is chosen with a great degree of precision. When I was editing the manuscript, I tried to get rid of superfluous props. I hardly ever added anything - it was mainly cutting until I reached the point when deleting one word would cause the whole structure to collapse, just like a house of cards. Then I knew that was it.

You are being hard on your grandmother, I must say.

This came out of me spontaneously, like an exorcism. I expressed my contempt - I don't want to use stronger words - towards my grandmother; it's bitter story, and that was it. With my brother, on the other hand, the narrative is different because I know why he acted the way he did. He was four and a half years older than me and had experienced much more of my father's illness. When I joined the "team," I became a clown who made everyone laugh, while my brother had a different role - he had to provide support to our mother and be a confidante, which is a very heavy cross to carry. He still carries it to this day. I missed certain aspects of my relationship with my mother and my brother, but at some point, I realized that it gave me independence, which, in turn, helped me organize my life the way I wanted.

You write about your father and the struggle of the whole family with his bipolar disease quite blatantly and without any sentimentality, but at the same time, with lots of sensitivity, love, respect, and affection.

I could not do it any other way because, despite this abnormal situation, my childhood was filled with warmth, love, and the physical display of affection. In the

beginning, I did not realize the tragic nature of the situation. As I write in the book, this was bread and butter – sometimes with jam, sometimes with mustard. I saw it as something natural, and, depending on my age, I understood it to the extent a child can.

How do you remember your father now?

I had two fathers. During the emotional highs, the so-called mania, my father became an innovator and a crazy inventor; he was a magic persona like a character from Garcia Marquez's novel. The other unveiling, when my father fell into depression and plunged into such a state of catatonia that we thought he was going to die, was much more challenging. But since my mother, whom I call "Great She-Bear," watched over us, I got everything a child should get – warmth, care, and safety. At least I felt safe because I understood the language, and I knew when the next mood swing was coming. A strange word or sentence at the table was enough for us to realize that we needed to change gear. Since we had this covered because we had dealt with the situation many times before, we operated like a Swiss watch. Everyone knew what to do. My job was to talk to the orderly. I always asked them to leave the straitjacket in the ambulance because just the sight of it drove my father mad. I was growing up, and so was my understanding of this mental condition. The terminology kept changing, from manic depression to affective bipolar disorder, but the disease remained the same.

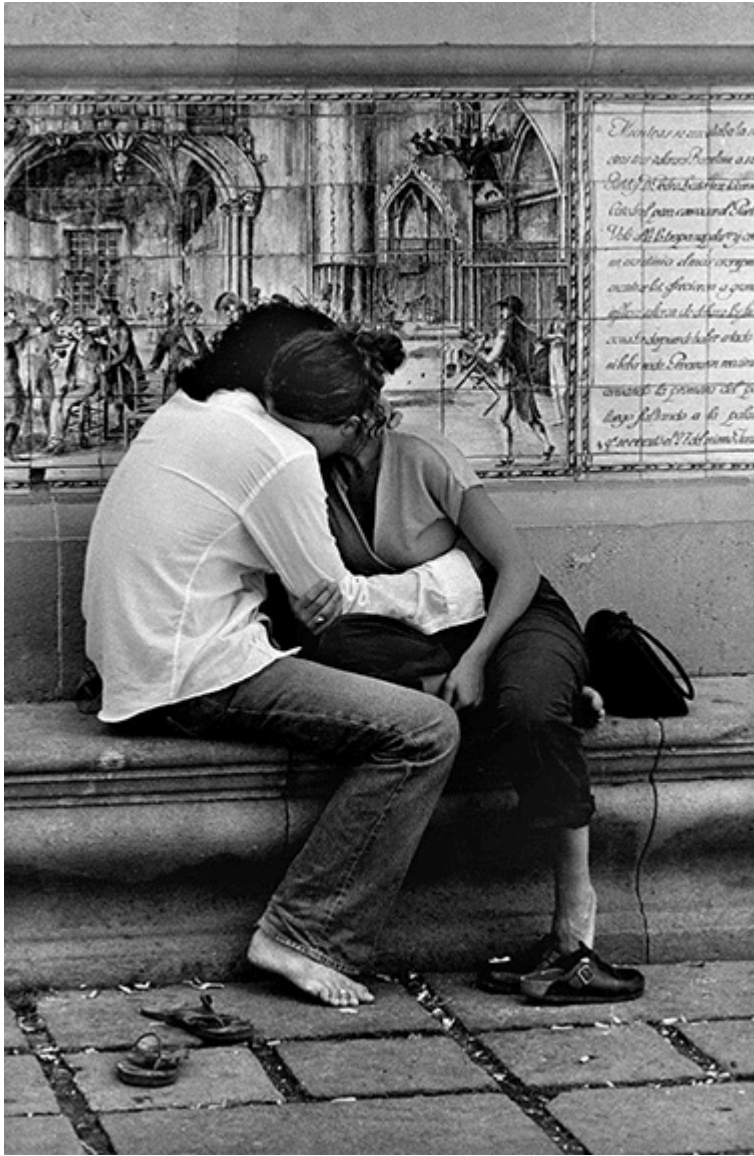


Photo: Bogdan Frymorgen



Photo: Bogdan Frymorgen

It turns out that many famous people suffered from this disease, such as Robert Schumann, Gustav Mahler, Edward Munch, Isaak Newton, Graham Greene, or Frank Sinatra, and many times it ended with suicide (Ernest Hemingway, Vincent van Gogh, and Virginia Woolf). Do you think that lack of support could have played some role?

The people you have mentioned were exceptionally talented and sensitive. This disease likes such people. However, it is important to realize that this mental condition can have a wide range of amplitude. One can function fairly normally without the necessity of taking antidepressants for the whole life. It is true that people suffering from bipolar disorder, especially left to their own devices, have

suicidal thoughts because this is a terrible disease. My father had the support of his family - his wife, sons, and the community. On the other hand, he did not have access to therapy, which is popular and accessible today. Not all people suffering from this disease have families, or their families break up. Their children give up on them or don't know how to communicate with the sick person because if you have not learned the language and have not let it become part of your DNA, it can be difficult. I always had a gut feeling that it was my duty - although I never defined it that way - to be with and care for my father. My father died at the age I am at right now, and this is incredibly telling.

The question of genetic risk is something that comes to one's mind naturally. In your book, you say that your mother made you and your brother believe that it was only girls that could inherit the bipolar disease, which is untrue. Did you contrive a similar tactic to protect your sons?

My mom is a sweet person, and I have no idea if what she used to say was premeditated or suggested by some professor in Krakow, where she used to go for consultations. If you keep hearing these words for all your life, you can be programmed. I never said anything like that to my sons, but I started talking very frankly about my father's illness when they were old enough. I warned them about the destructive effect drugs can have on mental illness if one has a predisposition. This can be triggered even after one dose. Unfortunately, this has happened to some people I know. Our sons were in high school at that time, and we all know what is going on in schools, so, as the so-called responsible parent, I had to have this conversation. And one more thing - I never got the disease and never will (at my age, I can be sure), but I am absolutely aware where I came from. I am oversensitive on various levels. Still, I know where to direct this oversensitivity. My father's illness is part of me and part of my upbringing, and I am not ashamed of it. With this book, in a way, I say goodbye to my father.

All those incredibly poignant, sometimes heart-breaking, stories together with your visual and expressive use of language would make a great screenplay.

My son has already offered to make a film based on the book, but for me, it's too

early to even think about it. Right now, I need to be humble and “process” the book and everything that is happening around it. I am enjoying its various unveilings – interviews, such as this one, and numerous comments that people, some of whom I have never met, share with me. It’s fantastic. I have also become an Ambassador of the Third Mental Health Congress.

So I have heard. How did this come about?

It was Congress that reached out to me. Why not, I thought. Obviously, I checked out what they do first because I never engage in any collaboration without verification. These are fantastic people. They work all year long, but once in three years, they organize a meeting with people from diverse background to talk about how to support people who have a mental illness. This is a grass-roots initiative. Its goal is to create local support centers for such people, especially in small towns and villages. There are 33 such centers now, and they plan to create 300. What spoke to me was that people involved in Congress struggle or have struggled with a mental illness or have encountered it in their family or community. My book became a passport to talk about mental issues with a certain dose of accountability. One of my duties is to spread the word about this initiative, and I must say, it is a great honor and pleasure.



■ *Photo: Bogdan Frymorgen*

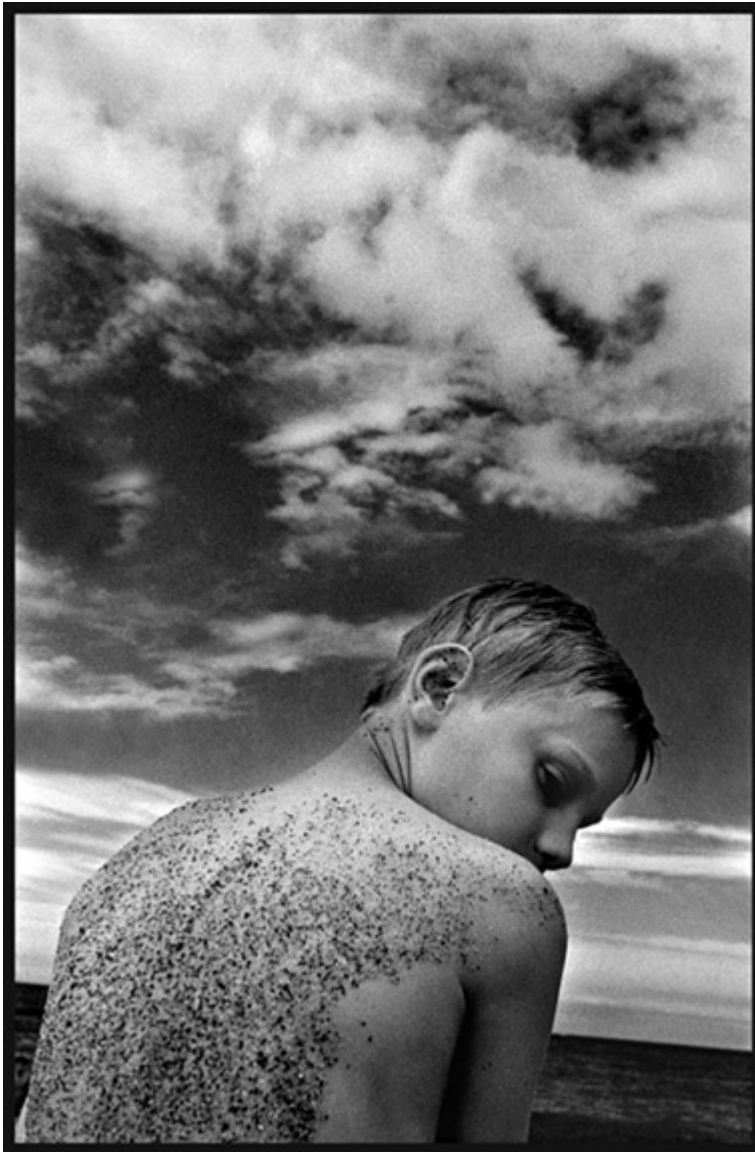


Photo of the author's son, which was used for the cover of Paweł Huell's novel Weiser Dawidek (Photo: Bogdan Frymorgen)

How can your story help other people?

I talk about mental illness with an open mind and heart. I am frank and use relatively straightforward language. The more often and more sincerely we talk about these issues and without any prejudice, the better for those people and their close ones. Of course, my book is *my* story, but this disease can turn one's life upside down. That is why the appropriate community support, therapy, and proper medications (which can be necessary) can help those people lead a somewhat normal life, have family, and keep their job. What is more, they can help other people, just like those involved with Congress. We cannot write these people off; we

cannot hide them in a cellar. They have a right to normalcy as much as their abnormal situation allows.

It is clear in the book that you have a quite disapproving attitude toward the Catholic Church - as an institution and her dogma. On the other hand, religious symbolism and lexis are omnipresent. Let me recall just a few: a group of kids dragging their friend to a religious education class is called "Christ Knights" or "The Lamb of God," who eventually become "rams"; you refer to your mother as "Madonna of the Beskids"; doctors are "angels." Why such imagery?

When you are born in a small village in the Beskid Mountains, in a devout Catholic family, of course, this culture becomes an inherent part of you. Such connotations come to mind naturally. Why erase them? Spiritually, I have drifted away from the Church, from the concept of God and divinity, and when I go back to my little village of Komornice, I do not feel any spiritual connection. However, the moment I smell the frankincense and hear the organ, everything starts to spin. Still, it has nothing to do with the Mystery of the Transfiguration or holy sacraments. I was baptized and confirmed, but at some point, the relationship - for various reasons - crumbled. Still, the iconography remained.

I am not accusing you of hypocrisy, mind you. I see these connotations as an interpretation of certain religious concepts or symbols—an interpretation that is alternative to the one we were and are taught. You show their contemporary dimension.

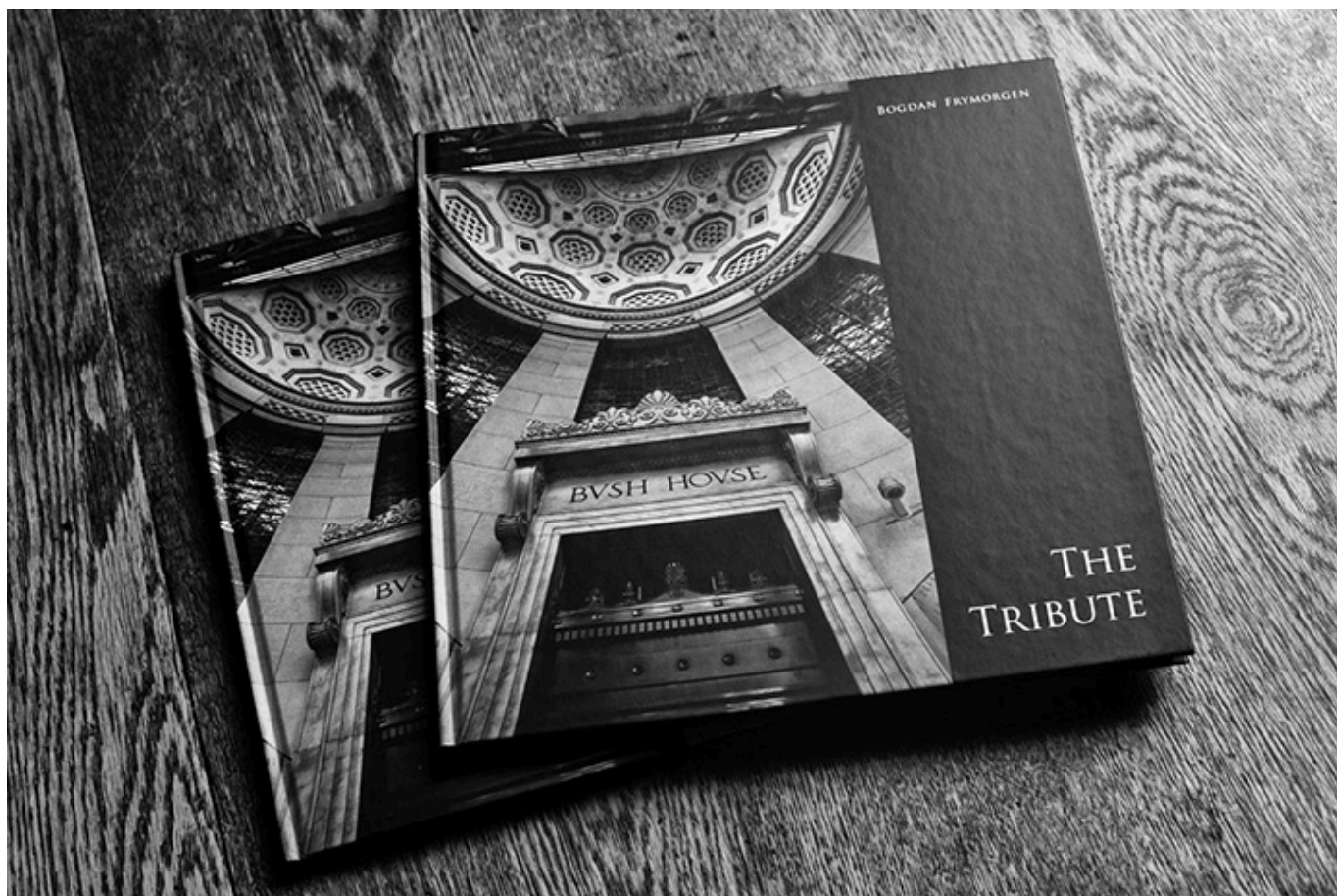
I would not go that far. I simply describe my relationship with the Church, starting with the time when I first attended the Mass and literary fainted until the moment of breaking away when I realized that the Church was unable to nourish the soul of a growing boy. I dare say that there is an ample amount of spirituality in this book - there is a look at the spiritual needs of a young man that can be satisfied outside this institution and can lead to a life lived according to a certain moral and ethical canon, which we can pass onto the next generation. That happened to me. For sure, I did not want to sound pompous. This book presents only my subjective memory, and the memory is not the truth.

Someone noticed the musical qualities of your writing and that it reads well aloud. Recently, you have announced that at the beginning of next year, you are planning to read it on the Polish Radio RMF FM.

This book is musical because there is so much music inside of me. We have known each other for quite some time, so you know well that I have always been interested in music, which fills my life 24 hours a day. That is why this book has a certain rhythm. You can sense *piano* and *forte*; sometimes you hear an orchestra and sometimes—an instrument solo.

Are you planning to have it translated?

A friend translator has offered to tackle the translation. I told him to give it a try, and we shall see. I will never do it myself because the book was borne in Polish, and I want to enclose it in my Polish-ness. Since I mention this topic, I want to stress that I live here, my family and my work are based here, I love London, but all my creative work is in Poland and for Poland. My artistic endeavors are entirely unknown in the U.K. I go to Poland quite often; I am engaged in Polish affairs on many levels; I feel I am a full-fledged and full-blooded citizen who happens to live in London. I have made myself believe that I function in two worlds.



*The album **The Tribute** dedicated to the BBC headquarters (Photo: Bogdan Frymorgen)*

Why did you leave Poland in the first place?

I left in the mid-80s, a few years after the martial law was lifted in Poland. That was a time of hopelessness and lack of perspectives. I don't consider myself a political emigrant, although I have always cared and been very much involved in what's going on in Poland. For 30 years, I have been celebrating constructive progress in Poland, but now, I am bleeding inside. On the other hand, as a responsible and engaged citizen of Great Britain, I am worried about my adopted homeland, Brexit, the pandemic, not to mention what this country may face - potential Scottish independence or a unification of Ireland, which is quite conceivable.

You worked at BBC for 24 years as the so-called "studio manager."

I enjoyed it very much. I love music and am generally very sensitive to sound. All this time, I simultaneously realized my Polish projects. I also hosted a radio program on classical music. My motto is to do as many things as possible.

The music which you consider your first love was Johan Sebastian Bach's. In your book, you talk about your first encounter with his music played by the church organist. You even call Bach your sanctuary.

When I heard him for the first time, I didn't know it was Bach. The only reason for my outings to church was to listen to the organ. When everybody left after the Mass, and our organist, Mr. Linert, could - at last - play freely, I was dumbfounded. By the way, his son has recently got in touch with me - he was so happy that somebody still remembered his father. I have never received any formal music education, but I tried to make up for this later in my life. I became interested in classical music, though I started with other composers. When I finally embraced Bach's music, I never let him go. I listen to his music on a daily basis; he is my best friend, and I never feel lonely. There are other fantastic composers, but this "cathedral" is indestructible.

Let's talk about photography. In your documentary about the British photographer, Gerald Howson, he comments on his photographs of Poland in the 50s and says that he always avoided being "too arty" or "too self-consciously poetic." Looking at your photographs, one could assume that this has become your mantra, too.

When I met Gerald, I had been doing photography for quite some time, so I will say this - I do my own thing. However, when a fascinating person crosses my path, I drop everything and get absorbed with them entirely. It happened to me twice. First it was Gerald, and then, the Israeli writer Irit Amiel. Gerald took six years of my life, but I have no regrets. This was an incredible experience - first, when we discovered his archives with negatives that had been lying in his drawer for 50 years. Nobody had ever seen them. Then, we organized his exhibition in Krakow's district of Kazimierz. Can you imagine those people, then in their 70's who burst into tears once they recognized themselves in those photos as kids?! Gerald was a painter by profession, and he took photos with an eye of an artist. What is more, he had an unusual gift for talking about complicated issues in a simple language. He was an extraordinary man, and for me, a significant figure - a mentor, in a sense, although I was already 50 at that time. Irit Amiel played a similar role in my life. I fell in love with this 85-years-old woman, and the affection was mutual. Irit was born in

Czestochowa as Irenka Librowicz. After miraculously surviving the ghetto, she emigrated to Israel, where she started a family and changed her name. She was an exquisite writer. I strongly recommend her autobiography *Life: A Temporary Title*. She showed up in my life virtually out of nowhere, but if I were to look for some divine providence, I would probably find it in such encounters, in this clash of extraordinary energies. There are still a lot of people like these out there. You just need to be open to recognize their uniqueness and offer them part of ourselves so that they do not sink into oblivion.

Tell us something about your photo albums that show the district of Kazimierz, formerly Jewish quarters.

I have published two albums, *Kazimierz Without Words* and, simply, *Kazimierz*. The former came into life out of a specific demand. In 2007, I buried my friend, Chris Schwarz, whom I helped create the Galicia Jewish Museum in Krakow. Chris left me a beautiful camera, which I kept for years on my mantel. I treated it as a relic, but at some point, I decided to touch it and take photos of Kazimierz. In this way, I paid tribute to my friend.



*Photo from the album **Kazimierz bez słów** (Photo: Bogdan Frymorgen)*

This particular photo caught my attention: a lady going about her daily matters photographed against a wall with the drawing of silhouettes, which, I assume, represent people who used to live there.

These strange outlines drawn on the wall with chalk resulted from the initiative I organized with the Galicia Museum and Chris on the anniversary of the expulsion of the Jews from Kazimierz to the ghetto on the other side of the town. We created a list of streets, and together with the Academy of Fine Arts students that I engaged, we lay on the road or glued ourselves to the wall and drew the outlines. When Kazimierz woke up on the next day, it was covered with hundreds of such silhouettes. This particular photo was taken a few years after this initiative and Chris's death, but as you can see, some outlines are still visible.

Why did you become interested in the history of Polish Jews?

I was born 17 years after WWII, in a country where nobody talked about Jews and the Holocaust. This subject was taboo in my village, located about 12 miles from

Auschwitz. I had no idea what had happened there. I went to Janusz Korczak Elementary School, and for eight years, never ever did I hear that he was Jewish. The narrative presented to us was that he was a Polish (assumed Catholic) doctor, who heroically died with Polish (assumed Catholic) children in Treblinka. When I went to high school in Bielsko-Biala, there was a chasm next to the building, where a beautiful synagogue stood before the war. During my four years at school, whenever we opened the windows to air the classroom and looked at that empty space, we had no clue. Finally, when I went to college in Krakow, I once saw the documentary *Shoah* by Claud Lanzaman, and the whole world crumbled. It was a mind-opener. I was in a state of shock. And revolt. And anger. I became interested in Kazimierz when I helped Chris launch the Galicia Museum. Together with my wife, we bought an apartment there, and I started exploring. My first photographs of Kazimierz were taken in 2006, but they look as if they could have been taken dozens of years ago. I dedicated my second album about Kazimierz to Irit, who wrote this inscription: "I am looking at the pages of my friend's album... and I feel a total lack of Jewish life. For me, the whole Poland from bottom up, is one big cemetery, one painfully bleeding scar. The Polish-Jewish history is over. The album emanates this absence." These are honest and accurate words, and what's inside the album is just an attempt to show what is no longer there.

Why are all your photos black-and-white?

First of all, the camera I got from Chris had a black-and-white roll of film inside. Probably, if it had been a color roll, I would be taking color photos [*laughs*]. Secondly, I remember the black-and-white TV from my childhood, and the world on the screen seemed so authentic, honest, and genuine. Perhaps because we were children. Besides, when I study Kazimierz, I look through the eyes of people who used to live there. The same thing happens with Lanckorona*, which I see through my grandmother's eyes. There was no color photography then. I use a digital camera, and all my photos start in color, which I eliminate later.



*Photo from the album **Lanckorona** (Photo: Bogdan Frymorgen)*

From the album dedicated to Lanckorona, I have chosen the photo showing an old lady walking towards a light, which is one of my favorite shots.

It is very telling indeed. This photo could have been taken at the end of the 19th century, but it was taken a few years ago, which is proof of what an enchanted place this is, what magical things can happen there. You just need to notice and snap them. This woman is going to church to attend Vespers, and the light you see comes from the streetlamp that stands next to the church. Only people who are familiar with this town can recognize the spot.

I see symbolism in this image—walking towards the light stands for death. There is no sadness in this shot, though.

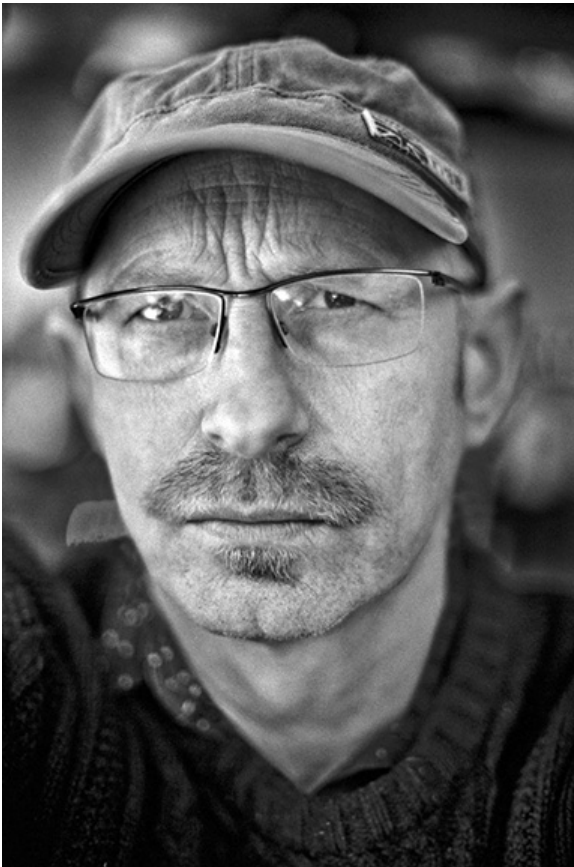
Most of all, there is peace. The subject of death reappears in my book quite often as I am totally comfortable with the topic. Death is the same part of life as birth, and the further we go, the closer we get to it. Through photography, you can and should

talk about everything. I like controversial photography; I like photographers who do thing out of the ordinary, who are not afraid to cross the lines. Truly, in art, nothing can be achieved without risk. Art without risk is just one big stereotype and is simply boring. I do not claim that what I do - either through photography or wiring - is revolutionary, but I do like to stick my head out.

(transl. buz)

**A historic and charming little town located about 20 miles south-west of Krakow.*

*



Bogdan Frymorgen, self-portrait

Bogdan Frymorgen is a journalist, photographer, author of a literary debut - a memoir about his childhood marked with his father's mental illness. He studied English Language and Literature at the Jagiellonian University in Krakow. While in college, he co-founded, played the guitar, and sang in a musical trio BUS STOP,

which presented mainly American folk music and won numerous awards at music festivals in Poland. Since 1986, he has been living in London. He worked as a studio manager for BBC for 24 years and hosted a radio program devoted to classical music for six years. He is a correspondent, reporter, and interviewer for the Polish Radio RMF FM. He has published the following photo albums: *Kazimierz bez słów* (2011), *Kazimierz* (2018), *The Tribute* (2015), dedicated to the BBS World Service headquarters (1932-2012), and *Lanckorona* (2015). He was a curator for a British photographer, Gerald Howson's archives and exhibition, and made a documentary *Gerald Howson: a very Polish Affair* about Howson's photos of 1950s Poland. He led the efforts to publish a bilingual collection of poetry by an Israeli poet and Holocaust survivor, Irit Amiel, *Spóźniona/Delayed* (Austeria). Bogdan Frymorgen collaborates with several cultural institutions in Poland. He is a member of the Polish Photographers Association and the Board of the Galicia Jewish Museum in Krakow and an ambassador of the Third Mental Health Congress. He is working on his next photo album, *Human*. The Polish version of the book *Okruchy większej całości* (2021) is available at the Austeria publisher's website <https://austeria.pl/produkt/okruchy-wiekszej-calosci/> (international shipping available). English translation pending.

*

For the Polish version of the interview (in two parts), click the links: Part One and Part Two.